

Łzy nad Nairobi

12 lutego 2008

Wieczór 30 grudnia 2007 roku. KTN – telewizja kenijska – podaje komunikat, że urzędujący prezydent Kibaki ponownie zwyciężył w wyborach i zostanie zaprzysiężony na drugą kadencję. W powietrzu czuć napięcie – biorę kamerę i jadę do centrum Mombasy – drugiego, co do wielkości miasta w Kenii. Po drodze spotykam młodą muzułmankę, która prosi, by ją zawieźć do domu. Nikt jeszcze nie wie, co się może wydarzyć, ale instynkt podpowiada jej, że zbliżają się kłopoty. I rzeczywiście – w Mombasie drogi są zablokowane przez płonące opony, policja prowadzi regularne bitwy z uzbrojonymi mężczyznami. Płoną samochody. Sklepy są rabowane. Koniec marzeń o spokojnych wyborach.

KRWAWY POMARAŃCZE

Kenia zawsze wyróżniała się na tle swoich sąsiadów. Kraj bez wojen domowych, krwawych dyktatur wojskowych, bez większych napięć politycznych. Wprawdzie i Kenijczycy doświadczyli autorytarnych rządów drugiego prezydenta – Arapa Moi, ale gdzie im było do osiągnięć dyktatur w Sudanie, czy Ugandzie. Mieszkańcy Kenii z wyższością mogli patrzeć na pozbawioną rządu Somalię, na rozdarty wojną Sudan, czy pełną dzieci-żołnierzy Ugandę, by nie wspomnieć o Kongo lub Ruandzie.

W 2002 roku demokracja w Kenii miała świetlistą przyszłość. Wolne wybory w 2002 umocniły pozycję Kenii jako stabilizatora regionu. W planach była zmiana konstytucji, z wprowadzeniem urzędu premiera, z parlamentarnym systemem rządów. Plany – zostały tylko na papierze. Nowy prezydent niechętnie chciał się dzielić swoimi szerokimi prerogatywami. Zamiast tego przygotował nową wersję konstytucji – wzmacniającą jego urząd.

To był duży błąd. Jego dawni współpracownicy formują ruch

polityczny, którego celem jest zablokowanie nowego projektu. Wymuszają przeprowadzenie referendum. Jest rok 2004. Ktoś rzuca pomysł: skoro duża grupa wyborców jest półpiśmienna, pomożemy im w wyborze. Ci, co są za nową konstytucją – niech na karcie do głosowania postawią znaczek przy bananie, który swoim kształtem przypomina ^. Przeciwnicy – stawiają podpis przy pomarańczy – symbolizującej zero. W ten oto przedziwny sposób pomarańcza wkracza do kenijskiej polityki.

KENIJCZYCY GUSTUJĄ W POMARAŃCZY

Pomarańcza zwycięża – prezydencka konstytucja upada, a nowy społeczny ruch czuje swoją siłę. Tworzy się ODM – nowa partia, która wybiera sobie za symbol kolor pomarańczowy. Celem są wybory prezydenckie w 2007 roku. Ukraińska pomarańczowa rewolucja doczekała się afrykańskiego następcy...

KAMPANIA WYBORCZA 2007 ROKU

Lider ODM – Raila Odgina od początku prowadzi w sondażach. Jest faworytem tak mediów jak i tłumów. W odróżnieniu od prezydenta świetnie czuje się w tłumie. Jest ulubieńcem biedoty, żyjącej w slumsach.

WYBORY

27 grudnia

Dzień wyborów. Kolejki przy urnach. Trzeba stać kilka godzin, by zagłosować. Ludzie stoją.

Wieczorem zaczynają napływać pierwsze wyniki. Uderzające są dwa fakty – Raila Odgina – kandydat opozycji otrzymuje mniej więcej 30% głosów więcej niż urzędujący prezydent. Po drugie: wyraźny jest podział etniczny. Centrum kraju – zamieszkałe przez plemię Kikuju – woli prezydenta. Reszta regionów wybiera opozycję.

28 grudnia

Napływają wyniki z kolejnych obwodów wyborczych. Raila Odinga prowadzi, Kikuyu nadal głosują na prezydenta, inne regiony na opozycję. Panuje spokój.

29 grudnia

Prowadzi Raila. Coś się jednak psuje w systemie – przestają napływać wyniki z kolejnych wyborczych lokali. Ludzie się niecierpliwią. Gromadzą się w restauracjach, pubach, barach, gdzie przed telewizorami obserwują kolejne konferencje: Raili Odingi, szefa policji, czy przewodniczącego komisji wyborczej.

30 grudnia

Napięcie rośnie. Wreszcie zaczynają spływać wyniki wyborcze. Prezydent szybko odrabia zaległości. Opozycja twierdzi, że jest to efekt fałszowania i cudów nad urną. Prasa naciska na komisję wyborczą, by wreszcie ogłosiła wyniki. W siedzibie komisji dochodzi do awantur. Policja wyprowadza dziennikarzy. Ludzie rozchodzą się powoli do domów, nie wierząc, że poznają dziś zwycięzcę.

I wtedy telewizja podaje niespodziewaną wiadomość: prezydent Kibaki zwyciężył większością 200 000 głosów.

Już chwilę po ogłoszeniu wyników prezydent jest zaprzysiężony. Panuje pośpiech. W 2002 roku, kiedy Kibaki wygrał wybory, na ulicach Nairobi panował festiwal. Zaprzysiężenie odbyło się na stadionie w obecności polityków, dyplomatów i skandujących tłumów. Dzisiaj dzieje się to w szczelnie otoczonym przez policję pałacu.

Na ulice wdziera się chaos. Płoną opony. Policja używa gazu łzawiącego i ostrej amunicji. Noc to dopiero jednak preludium.

31 grudnia

Ostatni dzień roku. Nikt jednak nie przygotowuje się do obchodzenia Sylwestra.

Kraj jest sparaliżowany. Telewizja i transport nie działa. Ludzie poprzez telefony komórkowe próbują się komunikować. Rozchodzi się plotka, że Raila został aresztowany. W Mombasie ludzie z sztachetami i maczetami gromadzą się na demonstracje. Krzyczą: „No Raila, no peace – nie będzie Raili, nie będzie pokoju”. Palą się sklepy i domy. Dominuje moda w tonie pomarańczy. Lotnisko jest zablokowane przez przerażonych turystów, którzy chcą się wydostać z kraju.

1 stycznia

Nowy Rok. Wreszcie telewizja zaczyna transmisję. ODM urządza konferencję, podczas której paru przewodniczących komisji lokalnych deklaruje, że do wyników z ich komisji dopisano po kilka tysięcy głosów na prezydenta.

Zachód Kenii płonie. Ludzie generalizują. Kikuju są źli. Kikuju nigdy nie pozwolą, by ktoś inny rządził Kenią. Kikuju nas okradają...

W Eldoret demonstranci podpalają kościół, gdzie żywcem płonie 30 ludzi, głównie Kikuju.

2 stycznia

Policja próbuje zapanować nad sytuacją. ODM również. Opozycji jest wyraźnie nie na rękę, by konflikt miał charakter etniczny. Raila podkreśla podobieństwa z Ukrainą, gdzie władza w podobny sposób oszukała wyborców i ogłasza masowe demonstracje na 3. stycznia.

Policja ostrzega, że zacznie używać ostrej amunicji. Dziwne – używa jej już od czterech dni.

3 stycznia

Dzień demonstracji. Ludzie maszerują z zielonymi gałązkami. Policja strzela gazem łzawiącym i ostrą amunicją. Desmond Tutu i inne autorytety chcą mediować. Prezydent odmawia – nie ma takiej potrzeby. Wybory się zakończyły.

4 stycznia

Przewodniczący komisji wyborczej udziela wywiadu. Na pytanie czy prezydent Kibaki prawidłowo i uczciwie wygrał wybory odpowiada: Nie wiem.

Rośnie presja międzynarodowa. W Ugandzie brakuje paliwa – sprowadzanego przez Kenię. Na ulicach znowu demonstracje i walki z policją.

ODM chce powtórzyć manewr Juszczenki – zgromadzić na centralnym placu miliony. Problem w tym, że wyborcze bastiony opozycji to slumsy – porzucane po przedmieściach Nairobi. Kiedy demonstracje wyruszają do centrum, od razu są rozpędzane przez policję.

5 stycznia

ODM odwołuje wiec – ze względu na brutalność policji. Na plac przyjeżdża czterech parlamentarzystów. W towarzystwie kamer chcą wejść do centrum. Policja strzela do tej czwórki z gazu łzawiącego.

Kolejny wiec jest wyznaczony na 8. stycznia.

Kraj powoli się odpręża, wraca normalność. Ale nie do końca – sklepy są zamykane wcześniej. Rok szkolny opóźniony o tydzień. Po zmroku ludzie pośpiesznie wracają do domów.

Rząd Ugandy podaje, iż przyjął 5 tysięcy uchodźców z Kenii. Krążą plotki, że w regionie Luo (opozycji) samochody Kikuju są zatrzymywane, a kierowcy bici. To samo ma się dziać z Luo w regionie Kikuju.

Rząd powoli zaczyna wyrażać chęć do negocjacji. Opozycja jednak jest nastawiona bojowo. Żąda nowych wyborów.

Stawka jest duża. Jeżeli Prezydent Kibaki zostanie, nic się nie zmieni – kolejne sfałszowane wybory w Afryce. Jeżeli jednak uda się zmusić rząd do przeprowadzenia nowych wyborów,

w afrykańskiej polityce nastąpi nowa jakość – po raz pierwszy społeczeństwo wymusi swoje prawa na władzy.

Dla Afryki – pełnej reżimów wojskowych i różnych dożywotnich prezydentów, którzy łaskawie uszczęśliwiają sobą obywateli – a raczej poddanych, byłaby to rzeczywiście dobra nowina.

W trakcie jednej z demonstracji policja strzela na oślep gazem łzawiącym – również w kierunku osób postronnych. Uciekamy i obmywamy sobie twarze wodą. Ciężko oddychający starszy człowiek płacze: to przecież miała być demonstracja pokojowa, my tylko chcemy pokoju. Pyta się skąd jestem. „Z Europy” – odpowiadam przez łzy. Słyszę pytanie: „Czy nam pomożecie?”

PIŁKA JEST JEDNA, BRAMKI SĄ DWIE... A UCHODźCÓW TYSIĄCE!

Jest południe, człapiemy poboczem drogi. Gorąco!!! Miejsce docelowe, do którego idziemy, jest na krańcach miasta. To obóz uchodźców – Jamhurii, gdzie władze kierują osoby, dotknięte ostatnimi zamieszkami. Wolne wybory, a raczej ich fałszowanie, to spalone domy, kościoły czy zrabowane sklepy. I ludzie, którzy uciekają z miejsc, gdzie mieszkali, modlili się czy handlowali. Początkowo uciekali do kościołów, ale po tym jak 30 osób spalono żywcem w jednym z nich, teraz preferowane są posterunki policji, miejsca blisko koszarów wojskowych, słowem tam, gdzie jest bezpieczniej. I takim jest wyznaczone przez władze Jamhurri – miejsce do organizowania wystaw handlowych.

Początkowo nie możemy znaleźć naszego celu – od pobytu w Malawi wiem jednak, że wygląd obozu dla uchodźców różni się zazwyczaj od telewizyjnych wyobrażeń. Kiedy pierwszy raz pojechałem do malawijskiego obozu dla uchodźców, szukałem zgrupowania namiotów, otoczonego drutami, samochodów czerwonego krzyża, grupy płaczących dzieci i matek tulących te najmniejsze. Na miejscu okazało się, że obóz wygląda tak samo jak każda inna miejscowa wioska – dzieci chodzą do szkoły, matki pracują, mężczyźni zresztą czasami też. Nie ma namiotów.

Jest tylko flaga ONZ. Nie ma dramatu, jak w relacjach z Kosowa czy Ruandy. Niestety – oznacza to zazwyczaj, iż większość obozów dla afrykańskich uchodźców ma po 10 – 20 lat. Ludzie już nie mają do czego wrócić i pogodzili się na stałe z życiem uchodźcy. A kto, na litość boską wytrzymał by 20 lat pod namiotem!!!

Teraz, mądrzejsi tym doświadczeniem, znajdujemy w końcu odpowiednie miejsce.

Ludzie są rozlokowani po małych „domkach”, czy jak kto woli „halach” wystawowych. Wszędzie kręcą się dzieci i policja. Dopiero jednak, gdy się wejdzie na stadion, widać, że to uchodźcy. Stadion jest centralnym miejscem, który służy za jadłodajnię, miejsce rozrywki, szpital, i Bóg wie, co jeszcze. Jedna kolejka ustawia się po jedzenie, gdzieś w okolicach środka boiska. W polu podbramkowym waży się dzieci, a tam, skąd zazwyczaj wykonuje się rzuty karne, ktoś rozdaje środki higieniczne. Między tymi stanowiskami pełno dzieci, wolontariuszy i generalnie – ludzi, którzy czegoś szukają, coś zgubili, a może coś znaleźli. Chcemy dołączyć się do udzielania pomocy. Szukamy osoby odpowiedzialnej, która mogłaby nam wyznaczyć jakieś zadania. Znam się trochę na udzielaniu pierwszej pomocy, ba, z wydawaniem zupy też chyba dam sobie radę.

Nie jest jednak łatwo kogoś takiego znaleźć. Okazuje się, że nie ma centralnej koordynacji. Jest kilka organizacji, które na własną rękę starają się pomóc. Po pewnym czasie pojawia się ktoś ubrany profesjonalnie. Podchodzimy.

Ma na imię James i przyjechał dziś rano. Chce pomóc, ale nie wie jak. Sam sobie znalazł zajęcie – przegania dzieci od lewego końca boiska do prawego. Nam też proponuje się dołączyć – możemy wtedy przeganiać dzieci z prawego końca. I tak dzieci będą miały odciętą drogę po obu stronach. System jednak nie zadziała! Zostaną przecież wolne drogi w okolicach bramek i sprytne, przeganiane dzieci, zawsze znajdą miejsce ucieczki –

potrzeba znaleźć więcej chętnych, by zamknąć dzieciom możliwości i można by tak je przeganiać – od lewego do prawego autu, a potem: raz w górę, raz w dół.

Ponieważ jednak nie ma ochotników czy ochotniczek do obstawienia bramek, rezygnujemy. Nie widzimy raczej sensu takiej pracy. Opuuszczamy stadion. Przy rondzie spotykamy wolontariuszkę – młoda dziewczyna przyjechała spoza Nairobi – też chce pomoc, ale nie ma jak – postawiono ją, przy rondzie by kierowała ruchem. Nikt tam nie przychodzi i jesteśmy pierwsi, którzy potrzebują jej pomocy. Nareszcie ktoś poszkodowany!

Dostajemy od niej informację, jak dojść do biura, gdzie przyjmują nowych wolontariuszy, po czym dziękujemy, czekamy aż zniknie nam z pola widzenia i uciekamy przerażeni w przeciwnym kierunku. Mijamy stadion – James dalej sukcesywnie przegania dzieci. Kierujemy się do wyjścia. I tak oto, zamiast udzielać pomocy, sami staliśmy się jej beneficjentami z ręki młodej wolontariuszki.

Ludzie w Kenii są szczodrzy i chętni do pomocy. Niestety, nikt tego nie koordynuje, nikt tym nie zarządza, stąd większość zniechęci się tym po dwóch – trzech dniach, tak jak my po jednej godzinie. A pomoc jest potrzebna – uchodźców nie ubywa, a nawet przybywa.

Dzisiaj Prezydent Kibaki po raz pierwszy wyjechał poza swój pałac prezydencki – a raczej otoczoną wojskiem twierdzą. Pojechał odwiedzić jedno z miejsc, gdzie w ramach rozruchów spalono domy, a nawet całe ulice.

W trakcie spotkania z przezornie wyselekcjonowaną, głosującą poprawnie grupą, na otoczonym przez wojsko stadionie, widać znowu dym – ludzie, których nie dopuszczono do spotkania z prezydentem dają mu znak, co o nim myślą. Palą kolejne domy. Prezydent jest poinformowany, że to busz się pali. Nic strasznego. Do Jamhurri przyjadą kolejni uchodźcy. Więcej

dzieci do ganiań po boisku...

Jeżeli prezydent naprawdę chce za wszelką cenę trwać przy władzy, być głuchym na głosy ludzi, dyplomatów, czy liderów kościoła, to miejmy tylko nadzieję, że w swojej długiej, 5-letniej kadencji przynajmniej nie będzie za wiele podróżował.

PREZYDENCKI GAMBIT

Staliśmy się kulturą obrazu. Wartościowy tekst, informacja, czy wypowiedź, nie wywołą takich reakcji, jak obraz. Zdjęcia nie wymagają wysiłku czytania, refleksji, osądu. Wystarczy je tylko zobaczyć. Trzy lata temu świat obieżyła informacja, że w zachodniej części Sudanu doszło do starć pomiędzy armią a ruchem oporu. Dla kraju toczącego wojnę na południu i wschodzie, była to zła wiadomość. Rebelię udało się jednak zdusić w zarodku. Ile przy tym wiosek spalono. Ilu ludzi zabito? Ile kobiet zostało zgwałconych? Konia z rządem temu, kto to wie. Takie są reguły w dobie globalnej wioski. Sudan – w ostatnich dwudziestu latach wojna domowa pochłonęła liczbę ofiar, porównywalną do liczby osób zabitych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Niestety – tylko w matematyce $1=1$.

A szkoda. Bo, w Kenii w przedziwny sposób przeplata się stare z nowym. Odżyły konflikty etniczne, ludzie zaczęli się identyfikować według przynależności plemiennej, strona rządowa zachowuje się dalej w dobrze znanym Afryce, bizantyjskim stylu. Tak jak wzdłuż i wszerz Czarnego Łądu.

A jednak: coś drgnęło. Kenia zmienia się i nastąpiła nowa jakość.

W rozgrywce o fotel prezydenta Kenii są zaangażowane różne siły: dyplomaci, specjaliści wysłannicy, USA, Unia Europejska, Bank Światowy, Unia Afrykańska, wreszcie różnorakie organizacje pozarządowe. W Nairobi aż roi się od konwojów policyjnych. Jeden wysłannik jeszcze nie zdążył wyjechać, a tu już przylatuje inny. Prezydent Kibaki doskonale wie, iż czas działa na jego korzyść, więc podsuwa opozycji mniej znaczące

pienki, byleby tylko wygrać całą rozgrywkę.

Na starcie lider opozycji, Raila Odinga otrzymuje propozycję udziału w rządzie – na niebagatelny stanowisku, bo premiera. Sęk w tym, że konstytucja nie przewiduje takiego stanowiska. Wygrany – przegrany lider opozycji z góry odrzuca taki kompromis. Skoro wygrał wybory prezydenckie, dlaczego ma zrezygnować ze swoich praw na rzecz urzędu, który nie istnieje? Tym bardziej, iż Raila czuje poparcie – poparcie różnych organizacji pozarządowych i dyplomatyczne, wreszcie poparcie ulicy, która wyjdzie na jedno jego skinienie.

Rozumie to prezydent Kibaki. By zyskać na czasie, przyjmuje kolejnych negocjatorów – Desmonda Tutu, następnie wysłannika USA czy prezydenta Ghany. Wreszcie jest szansa na rozmowy: za cenę spokoju – za cenę odwołania demonstracji. Prezydent zgadza się na spotkanie a negocjatorzy naciskają na opozycję, by ofertę przyjąć. Obiecują pomoc. Odprężony Raila odwołuje wiece. Życie wraca do „normy”.

Kiedy jest nadzieja na polityczne rozwiązanie, dzień przed spotkaniem prezydent ogłasza nowy skład rządu i wyznacza datę sesji nowego parlamentu. Mianując ministrów – zamyka w zasadzie opozycji pole kompromisu. W rezultacie do spotkania nie dochodzi. Efekt? Na środę – 13. zapowiedziane są nowe demonstracje. Opozycja, straciwszy już dwa tygodnie, wyciąga do walki swoje najsilniejsze figury: tłumy.

PARLAMENT

W międzyczasie dochodzi do pierwszej sesji parlamentu: najpierw trzeba wybrać przewodniczącego – pozornie proste zadanie. Skoro rząd jednak nie zatroszczył się, by przy „właściwym” liczeniu głosów prezydenckich odpowiednio policzyć parlamentarne, jest w mniejszości.. By zniwelować ten mankament, tymczasowy przewodniczący zarządza wybory marszałka w trybie tajnym. Opozycja protestuje. Zaczyna się głosowanie. Posłowie blokują urnę z głosami. Trwa spektakl, któremu

przygląda się prezydent. Niestety – tam nie da się wprowadzić policji. W końcu jednak rząd musi ustąpić. Opozycja jawnie i przejrzyście wygrywa wszystkie głosowania: parlament jest pomarańczowy! Czując swoją siłę, „pomarańcze” zaczynają debatę, którego prezydenta wspomnieć w przysiędze, jaką każdy poseł wkrótce ma złożyć: urzędującego – Kibakiego, czy lidera opozycji: Raile. Trwa dyskusja, emocje sięgają zenitu. Upokorzony prezydent musi się temu bezsilnie przyglądać. To tylko przedsmak przyszłych batalii, jakie nastąpią pomiędzy rządem i parlamentem.

ULICA

Pierwszy dzień demonstracji. W całym kraju napięcie. Pozamykane sklepy, na ulicach nie ma korków. Wielu ludzi pozostaje w domach. Każda ze stron wyczerpała już pośrednie możliwości, pozostaje sięgnąć po ostateczne atuty. Opozycja wzywa na ulice tłumy. Prezydent policję i wojsko. Od rana trwa ulewa – tak jakby natura chciała przerwać ten spektakl chaosu.

W samo południe deszcz ustępuje. Na niebie pokazuje się słońce, a na ulicach demonstranci. Dochodzi do starć. Policja gazem łzawiącym, pałkami i ostrą amunicją rozpędza tłumy. Nie dopuszcza ich do centrum miasta. Liderzy opozycji, którzy przezornie wykupili pokoje w jednym ze stołecznych hoteli, wychodzą przed budynek. Tylko po to, by ostrzelano ich gazem. Gdzieś w środku tego chaosu grupa urzędników próbuje wydostać się z miasta. Gromadzą się na przystanku w oczekiwaniu na autobus. Tworzą nielegalne zgromadzenie. Są ostrzelani gazem. Elegancko ubrane kobiety próbują uciekać do domów na przedmieściach – policja popędza je pałkami. Są zabici i ranni.

Drugi dzień demonstracji. Siły rządowe spychają demonstrantów do ich mateczników – slumsów. Splądrowany jest kolejowy skład towarowy. Większość pracowników, nauczonych doświadczeniem poprzedniego dnia, zostaje w domach. Nieczynne są biura, instytucje, firmy. Wieczorem podawane są rezultaty starć. W

ramach przywracania porządku konstytucyjnego zabito 13-letnie dziecko.

Ostatni dzień tridum. Piątek – dzień modlitw dla muzułmanów. Nikt ich nie zatrzyma w drodze do meczetów. Wierni wybierają te w centrach miast. Po modlitwach zaczynają się protesty – szybko jednak gaszone przez siły policyjne. W Mombasie są zabici i ranni – jednym z ich jest dwuletnia dziewczynka. Przed gazem uciekają też muzułmańscy przywódcy religijni – bardzo nierozsądne działanie ze strony policji. Można sobie pozwolić na strzelanie do biedoty, ale nie do imamów. To może się srogo zemścić.

Na prowincji swoją wolę demonstrują Masajowie – maszerują z pałkami i maczetami. Kiedy policja rani córkę ich przywódcy, tłum zaczyna falować energią. Nikt wtedy nie ma odwagi ich zatrzymywać.

W środku Kenii zostają złapani ugandyjscy żołnierze – co potwierdza plotkę o pomocy militarnej z Ugandy. Jednocześnie żołnierze – niemówiący w żadnym kenijskim – języku ostrzeliwują szpital. Ranni są Bogu ducha winni pacjenci i pracownicy. Łkając od gazu, a może i bezsilnej złości demonstrują rany po kulach, łuski i kanistry po broni chemicznej. Pytają się: dlaczego?

Tłum w odpowiedzi niszczy linię kolejową, łączącą Ugandę z portem w Mombasie – ludzie po prostu podnoszą i wywracają tory. To najważniejsze połączenie Kampali z resztą świata. A przynajmniej do 18. stycznia nim było. Skończył się czas podstawiania pionków. Pozostały najcięższe atuty. Opozycja odwołuje kolejne demonstracje – tylko po to, by następnego dnia je znowu zwołać. Ale nie ma już potrzeby by zwoływać demonstracje – regułą jest, że dzień i noc w slumsach dochodzi do zamieszek. Palą się domy. Spełniły się obietnice wyborcze – przynajmniej te, które mówiły, że duża część wyprowadzi się ze slumsów – telewizja pokazuje obandażowane kobiety z resztą dobytku na plecach, uciekające do obozów dla uchodźców.

Policja podaje, iż średnią dzienną to 6-7 zabitych osób. Inne źródła mówią o 20. Kenię czekają kolejne dni chaosu i dużego spożycia gazu łzawiącego.

Drugiego dnia demonstracji jakiś starszy człowiek znalazł się w nieodpowiednim miejscu i nieodpowiednim czasie. W ręku ma torbę z jedzeniem. Wraca z targu gdzie zakupił żywność. Ma 60 lat. Może 70.

Próbuje uciekać – jednak wiek mu na to nie pozwala. Dopada go policjant i zaczyna tłuc pałką. Starzec się przewraca, a wściekły młodzik tym bardziej go bije. Ofiara już się nie rusza. Udaje jej się jednak obrócić głowę i spojrzeć w oczy oprawcy. Pomaga. Do młodzika dociera, że im bardziej go będzie tłukł, tym mniejsze są szanse, by starszy człowiek wykonał jego rozkaz. Kopniakiem wskazuje mu drogę. Starzec podnosi się ciężko, zostawia jedzenie, nawet buty i kuśtykając oddala się.

Wieczorem wiceprezydent ogłasza w telewizji, że władze nie potrzebują pomocy z zewnątrz, by rozwiązać drobny problem Kenii.

Z MAILA

„Pozdrawiam, poniżej parę wiadomości w telegraficznym skrócie – na artykuł nie mam na razie czasu (może to i dobrze). Kenia jest teraz na etapie stołów i trumien. Stołów – bo do kraju przyjechało kilku dyplomatów – od Kofi Annana, po różnych prezydentów „z okolic”. A trumien – bo opozycja znalazła wreszcie sposób jak obejść zakaz zgromadzeń – sposób znany od lat, a stosowany tak w Palestynie, jak i w kilku innych konfliktogennych miejscach. Aż dziw, że dopiero teraz zaczęto to tutaj praktykować. Chodzi oczywiście o organizowanie demonstracji przy okazji pogrzebów – więc pomysł działa – organizuje się pogrzeb – szuka się zwłok – tego akurat aż nadmiar, przyjeżdżają liderzy opozycji, zbierają się tłumy i idzie. Policja nie ma ochoty strzelać do tłumu niosącego trumny. a raczej nie miała – aż do dzisiaj – kiedy to w samym

centrum zaczęto pacyfikować taki festyn. Skutecznie rozpędzono, tak demonstrantów, jak i biedne rodziny ofiar. jedynie trumny wytrwały dzielnie do samego końca – leżały pozostawiane, aż ktoś je pozbierał i gdzieś wywiózł. Życie powróciło do jakiejś normalności – gdyby ktoś teraz przyleciał do Nairobi, to nie zastałby śladu zamieszek – ot takie miasto jak każde w Afryce. Niestety – powróciły korki i tłok na ulicach. Czasami tęskni się za demonstracją. Byłem we wtorek w jednym ze slumsów – tylko policjanci z karabinami przypominają o większej ostrożności. Hej – ale nie zna się dnia ani godziny. Dzisiaj na przykład James – członek naszej wspólnoty, pojechał na zajęcia do uniwersytetu, nie spodziewając się że będą to bardzo ciekawe zajęcia – nawet za ciekawe – w połowie dnia, znikąd zaczęła się szarpanina i demonstracja – tłum spalił samochody, i sąsiadującą z uniwersytetem pocztę (wierzę tylko, że nie było tam moich zaległych listów, które nie doszły). Kiedy skończono z budynkiem poczty – zabrano się za uniwersytet. James opowiadał jak mu życie stanęło przed oczyma – i wtedy nadeszła odsiecz ze strony policji. Nie trzeba wspominać o gazie łzawiącym. W Nairobi nie ma wesołego miasteczka – po co? I tak bez tego jest wesoło... Pokładamy teraz duże nadzieje na mediacje – Niestety strona rządowa wyraźnie ich nie chce. Dziś Kofii Annan musiał odwołać spotkanie z urzędującym prezydentem, gdyż... ten ostatni miał napięty program. Wiadomo co to oznacza w języku dyplomatycznym. W międzyczasie zamknięty został centralny obóz dla uchodźców w Nairobi – władza stara się jak może żeby pokazać że życie wraca do normy. Jestem ciekawy, gdzie oni poszli – bo na pewno nie do swoich domów (zresztą większość z nich to pogorzelcy). Ot tak ich wypędzono. Z niektórych miejscach dalej toczą się regularne bitwy – to jednak slumsy, gdzie policja nie ma odwagi wejść. W naszej dzielnicy jak i w większości miejsc w stolicy – spokój i normalne życie. Dzisiaj słyszałem jak dwie studentki narzekały, że przez to wszystko pozamykano kluby nocne i nie ma gdzie wyjść na sobotę. Co tam uchodźcy, strzelaniny, czystki etniczne – kluby są zamknięte. To dopiero nieszczęście! Za to na zachodzie państwa – daleko

od Nairobi, nastąpiła nowa jakość – zorganizowano zasadzkę na konwój policyjny. Policjantów ostrzelano z broni maszynowej. Wczoraj na spotkaniu z przywódcą opozycji tłum skandował: „Daj nam karabiny!” Lider Raila Odinga odpowiedział: „Nie dam wam karabinów, ale obiecuję, że dam wam karty do głosowania”.

MIESIĄC „PO”

Równy miesiąc temu odbyły się w Kenii wybory. Kenijczycy wykazali się wyjątkową cierpliwością i niejednokrotnie stali w kilkusetmetrowych kolejkach, by oddać głos na swojego faworyta. To poświęcenie – wybuch obywatelskiego obowiązku – politycy zmarnotrawili. Kenia wciąż zjeżdża na równi pochyłej w kierunku chaosu. Teraz, po miesiącu, wielu ludzi zapomniało, o co walczy – konflikt z politycznego zamienił się w etniczny. Przez cały miesiąc telewizja i prasa pokazują przemoc, zabitych i płonące domy. 31 dni chaosu...

Nadal trwają negocjacje, pod przewodnictwem Kofiego Anana. Wiadomo już, że nie uda się osiągnąć celu, jakim było porozumienie polityczne. Sam Anan deklaruje, iż za cel postawił sobie utworzenie planu, według którego obie strony osiągną kompromis. Problem polega na tym, że tak opozycja jak i rząd nie zamierzają ustępować. Opozycja żąda nowych wyborów. Prezydent albo nic! Druga strona składa propozycje, z których na drugi dzień się wycofuje. Przełomowym momentem miał być piątek – 25. stycznia, kiedy to Raila Odinga spotkał się z prezydentem. Na oczach kamer podano sobie dłonie.

Od tego momentu w jednym tylko mieście Nakuru – zabito 60 ludzi. Na drogach są barykady i bojówki, które polują: Kikuju na Luo i Kamba, Luo na Kikuju. Gdzieś na drodze ukamienowano rektora jednego z seminariów duchownych. Wszędzie ten sam powód – nieodpowiednie korzenie etniczne. Próbowano podpalić kolejny kościół z uchodźcami, ale na szczęście policji udało się przybyć z odsieczą. Zresztą zachodnia część kraju coraz bardziej pogrąża się w bezładzie, a rząd ma coraz mniejszą nad nią kontrolę. Rozłokowano wojsko, które za pomocą helikopterów

próbuję monitorować zamieszki, ale jedyna realna pomoc, jaką mogą zapewnić żołnierze, to wywozić osoby, które przynależą do „nie tej” grupy plemiennej. Tylko gdzie ich wywozić – rząd przecież zarządził zamknięcie paru obozów dla uchodźców – by pokazać, że w Kenii sytuacja powraca do normalności.

Nairobi poza slumsami jest spokojne – czuć jednak napięcie, tak jakby powietrze było naelektryzowane. W sobotę wybuchły zamieszki w slumsie Mukuru – jeszcze we wtorek tam byłem i znajomi zapewniali mnie, iż ludzie w tym slumsie nie mogą wywołać rozruchów – zbyt długo tam mieszkają, zbyt dobrze się znają, tworzą solidną wspólnotę. Cztery dni później jedni palili domy innych...

100 kilometrów od stolicy spalono 15 ludzi żywcem – mężczyzn, kobiety, dzieci. Uciekali przed rozszalałym tłumem i zabarykadowali się w małym sklepiu. To był duży błąd. Tłum zablokował drzwi od zewnątrz, po czym oblano budynek ropą i podpalono. Telewizja pokazywała skłębione, na wpół zwęglone ciała, pomieszczone z belkami stropowymi. Tak, jakby zastygli, wtopieni w strukturę budynku. Podsumowawszy pierwszy miesiąc po wyborach, nikt nie oczekuje zbyt wiele w kolejnym. Nawet Koffi Anan ostrzegł, iż jeżeli nikt z polityków nie podejmie odpowiednich decyzji, to wkrótce nikt już nie zatrzyma Kenii na drodze do upadku.

REQUIEM DLA KENII

Poniedziałek, 28. stycznia. Cały kraj budzi się po jednym z najkrwawszych weekendów w swojej historii. Jeszcze w piątek, trzy dni wcześniej, Kenia była innym krajem. Wprawdzie rozdarta politycznie, jednak pełna nadziei na porozumienie. Koffi Anan – specjalny wysłannik ONZ doprowadził do spektakularnego spotkania pomiędzy rywalami politycznymi. Uścisk dłoni prezydenta i lidera opozycji obiega prasę lokalną i zagraniczną. Żeby jednak rozwiązać ten spór, kenijska polityka potrzebuje męża stanu z prawdziwego zdarzenia. Kogoś, kto potrafi spojrzeć dalej niż czubek własnego nosa. Niestety,

jak na razie na arenie politycznej aż roi się od różnej maści epigonów. Ach, gdyby tak przywrócić te chwile piątkowe! Ten moment nadziei, uścisku dłoni. Uśmiech i radość wielu ludzi. Zobaczyć znowu wiadomość, która jest pierwszą od miesiąca wiadomością bez krwi, płomieni i śmierci.

Ale jest poniedziałek. Piątek minął. A wraz z nim skończył się czas, kiedy przemoc była związana z wyborami, z zafałszowaniem wyników. Teraz – istnieje już konflikt etniczny. Na zachodzie Kenii kryterium zabijania jest przynależność do innego plemienia. W jednym mieście przez weekend ginie 60 ludzi. Gdzieś indziej 15 osób jest spalonych żywcem. Zapanowało takie zdziczenie obyczajów, że ludzie na drogach polują na ludzi.

Jedną z ofiar jest ksiądz – rektor seminarium duchownego. Zmierza do Nakuru – miasta od początku naznaczonego konfliktem. Niedaleko celu podróży wpada na barykadę z kamieni, zostaje wywleczony z samochodu i bity. Ma na sobie sutannę, więc nikt nie ma wątpliwości, kim jest ofiara. Mimo błagań o życie, tłum kamieniuje go aż do ostatniego tchu. Nie to plemię...

Mimo to mamy jeszcze nadzieję – radykalne porozumienie pomiędzy politykami byłoby potężnym impulsem dla pokoju i pojednania. Każdy też liczy, że ten płomień – płomień nienawiści – sam się wypali. Że nie ma wystarczającego paliwa, by podpalić cały kraj. Że historia Kenii – oazy spokoju i wzrostu gospodarczego wreszcie każe o sobie przypomnieć.

Nairobi tymczasem jest spokojne. Życie toczy się normalnym rytmem. Rano są niebywałe korki na drogach – tak jakby każdy chciał udowodnić: „Nic mi nie jest! Żyję według rutyny. Właśnie jadę do pracy!”

Ale jednocześnie czuje się już zapach przemocy. Ostatnie masakry wydarzyły się 60 kilometrów od miasta – to już nie jakaś odległa rzeczywistość – to nie: gdzieś indziej – na granicy z Ugandą. To bardzo blisko.

Dzisiaj podczas zajęć na uniwersytecie siedziałem koło młodej siostry z Eldoret (zachód Kenii). Mówi, że boi się o swoich najbliższych, bo wielu z nich mieszka w tym samym mieście, gdzie spalono ową nieszczęsną piętnastkę. Nie może się do nich dodzwonić. Już straciła swojego wujka, któremu ktoś na początku roku obciął maczetą głowę. Podziwiam ją, że potrafi tak po prostu być. Słuchać wykładów i trwać. Powoli też zaczynam podziwiać siebie samego, za moją umiejętność, która pozwala mi spokojnie usiąść koło takiej osoby i udawać rutynę...

SPOKÓJ PO (PRZED) BURZY

Wtorek, 29. stycznia. Po wyjątkowo ciężkim weekendzie każdy ma nadzieję na lepsze. Drastycznie spada liczba zabitych – z kilkudziesięciu do kilku dziennie. Postęp! Jednocześnie negocjacje nabierają prędkości. Koffi Annan pokazuje swoją klasę dyplomatyczną i tworzy coś na kształt kenijskiego okrągłego stołu – dla opozycji i rządu. Udowadnia też polityczną dalekowzroczność, ogłaszając tematy negocjacji: te najpilniejsze – zakończenie przemocy i rozstrzygnięcie sporu wokół wyborów, ale i te, które wydają się mniej pilne, ale tak naprawdę będące prawdziwą przyczyną konfliktu: sprawiedliwsza redystrybucja majątku narodowego oraz rozwiązanie kwestii własności ziemi. Własność ziemi – przekleństwo Afryki. Problem, który od RPA po Sudan jest przyczyną niepokojów, nienawiści, wojen czy przemocy.

Prawie wszędzie historia się powtórzyła: kolonialisci mieli w zwyczaju wybierać sobie najbardziej urodzajne ziemie i siłą wyrzucać od stuleci mieszkających tam rolników. Po odzyskaniu niepodległości większość białych farmerów musiała opuścić to, co kiedyś sami zabrali. Nowi władcy zamiast przywrócić własność prawowitym właścicielom, na zdobytych latyfundiach osadzali swoich ziomków i przyjaciół. W Afryce, bez systemu ewidencji, ksiąg wieczystych, praw własności, kto mógł to oprotestować? Ale pamiętano. Dla prostych ludzi termin zasiedzenia nie obowiązuje – nawet po 100 latach. Efekty były widoczne w ostatnim miesiącu. Dlatego taką wartość ma „mapa do

pokoju” według Kofiego Annana – porusza kwestie, których nikt z kenijskich polityków poruszyć nie raczył. Kenia wreszcie doczekała się swojego męża stanu – szkoda tylko, że tymczasowo i z importu. Nic dziwnego, iż prości ludzie wzdychają – „ach, gdyby tak tych dwóch (prezydenta i lidera opozycji), gdzieś wywieźć, a Kofiego Annana mieć za prezydenta!

Tymczasem te iskry nadziei przygaszone są przez morderstwo – a raczej egzekucję polityczną. Młody – 39-letni parlamentarzysta, Mugabe Were, wraca do domu w nocy z poniedziałku na wtorek. Reprezentuje jeden ze slumsów Nairobi – Embakasi. Jest tam bohaterem – mimo młodego wieku, udało mu się zbudować kilka podstawowych instytucji użytku publicznego. W życiu slumsu, które bardziej przypomina przetrwanie w dżungli, gdzie ścieki płyną obok domów, a ludzie są niemożliwie ściśnięci, gdzie notorycznie dochodzi do przestępstw i przemocy – jest to nowa jakość. Polityk troszczy się o swój okręg wyborczy, buduje, organizuje, planuje – taki polityk to szczególny dar. Bohater biedoty. Nadzieja na realną poprawę. Aż do wczoraj. Wieczorem Were podjeżdża do bramy swojej rezydencji. Tam otrzymuje strzał w głowę.

Na reakcję nie trzeba czekać. Zamieszki w slumsach, zamieszki w miejscu zabójstwa. Na miejscu śmierci ludzie próbują się gromadzić na modlitwie, ale zgromadzonych gonią młodziki w policyjnych mundurach. Ktoś otwiera bramę, ludzie chowają się w na podwórzu i w domu zamordowanego Were. Policja też czuje się zaproszona i tak dla rutyny ostrzeliwuje dom z gazu łzawiącego.

Wieczorem prezydent Kibaki wygłasza przemówienie – to raz pierwszy od wielu dni. Mamy jednak prezydenta! Potępia zamach i mówi o pojednaniu. Obok lider opozycji mówi o politycznej egzekucji i cytuje Martina Luther Kinga – o sprawiedliwości. Ten śpiew opozycji o sprawiedliwości, przeplatany swoistym „kochajmy się” ze strony rządu – trwa już miesiąc.

Nadzieja na rozmowy jest jednak jednocześnie dzwonkiem alarmowym: każdy zaczyna liczyć koszt ostatniego miesiąca. Do Kenijczyków dociera, że do spalonych domów, setek zabitych ludzi, zniszczonych małżeństw, wkrótce dojdą nowe wydatki. Tak naprawdę Kenia dopiero teraz zacznie płacić cenę chaosu. Port w Mombasie zwyczajnie się zaczopował. Można by zrobić wystawę: „Kontenery świata”. Linia kolejowa, łącząca Mombasę z Ugandą, została zniszczona w trzech miejscach. Ceny żywności wzrosły o 40 %. Do czerwca pracę ma stracić 400 tysięcy ludzi. O turystyce – dźwigni kenijskiej gospodarki – nikt już nie śmie nawet wspominać.

I wreszcie najgorsze – przyjdzie płacić cenę za nienawiść, za palenie domów sąsiadom, za polowania na ludzi, niczym na zwierzęta. Za gwałcenie kobiet na oczach bliskich. Tego żaden ekonomista nie podsumuje.

Po południu idę do jednego ze slumsów – sąsiadującego z Embakasi. Znajomi mi odradzają. Nie ma zamieszek, ale wiesz – jest takie napięcie. Ja jednak napięcia nie czuję. Może nie mam owego wyczucia, które buduje się przecież z pokolenia na pokolenie. Pierwsze, co zwraca moją uwagę, to pusta szkoła. Następnie puste drogi, brak publicznego transportu. Wreszcie, zaraz przy wejściu do slumsu, jakiś 12-15-letni chłopak krzyczy: Mzungu! (Biały!) – i ręką wykonuje ruch podrzynania gardła. Zły omen... Zawracam.

Autor tekstu i zdjęć: br Radek Malinowski MAfr

Źródło: [„Ulica Wszystkich Świętych” – nr 1 \(97\) 29.1.2×1000+8](#)

Opublikowano na zasadach Copyleft